

Wacław Sieroszewski

X Pawilon : (wspomnienie)

Niepodległość i Pamięć 5/3 (12), 303-315

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wacław Sieroszewski

X PAWILON (*Wspomnienie*)¹

1.

Po rewolucji 31-go roku Mikołaj I kazał zburzyć piękną podmiejską dzielnicę Warszawy, gdzie stały wśród obszernych ogrodów wille i pałacyki z czasów Stanisławowskich, aby na tem miejscu postawić twierdzę. Miała ona za zadanie trzymać w posłuszeństwie buntowniczą stolicę grozą zburzenia jej w parę godzin strzałami skierowanych na nią armat. Legenda prócz tego twierdziła, że podziemne korytarze łączą cytadelę z Zamkiem, nawet z Belwederem i że większość gmachów Warszawy jest podminowana, a lonty min można zapalić z Cytadeli.

Nie te jednak wojenne właściwości fortecy czyniły ją posępnem widmem, ciężącym nad wyobraźnią każdego Polaka w czasach niewoli. O wiele boleśniejszą rzeczą było więzienie stanu, jakie ona zwieriała.

- "Był w Cytadeli... Wywieźli go do Cytadeli... Zginął w Cytadeli!..." - oto wyrażenia dobrze znane w sferach ówczesnych patriotycznie usposobionych Polaków.

Małe dzieci roily w taki sposób:

- Jak dorosnę, to zostanę... koniem. Potem będę stangretem, potem pójdę do szkoły, potem będę siedział w Cytadeli... potem pójdę na wygnanie, a potem się ożenię!²

W czasach powstań, rozruchów, rewolucyj więziono w kazamatach Cytadeli setki i tysiące więźniów. Umieszczano ich w opróżnionych z wojska koszarach, w podziemiach fortów, w piwnicach rawelinów, gdzie zwykle były składy i warsztaty.

Stałe jednak więzienie polityczne mieściło się w słynnym X Pawilonie, stojącym w północno-wschodniej części fortecy, w pobliżu bramy, wychodzącej na Wisłę. Z niektórych okien X Pawilonu widać małe skrawki wstęgi rzeki, a w burzliwe noce słychać w celach więzienia szum jej pluszczących fal. Legenda głosiła, że swe ofiary zadreżone w X Pawilonie władze rosyjskie rzuciły do Wisły. Opowiadano szeroko o zadawanych tam torturach, o niemiłosiernym biciu, o drzazgach wbijanych za paznokcie, o wrywaniu zdrowych zębów, o trzymaniu w nieprzeniknionych ciemnościach, o karmieniu pieprzem i solą i dręczeniu następnie pragnieniem, o torturze ognia, wody i bezsenności...

To też kiedy mnie, piętnastoletniego wyrostka, przyjmowali moi rówieśnicy do pierwszego patryjotycznego, tajnego sprzysiężenia, poddano mię próbie "rozpalonem żelazem", czy aby "nie będę śpiewał w X Pawilonie".

Przez takie sito charakterów przechodziła w owe czasy duża ilość przyszłych politycznych konspiratorów.

1 Przedruk: "Świat", 1928, nr 41, 42, 43, 44 i 46 [red.].

2 Autentyczne.

Miałem lat 18 i od dłuższego już czasu tkwiłem w politycznej, tajnej robocie, gdy pod wpływem rozmów z Ludwikiem Waryńskim, Kazimierzem Dłuskim, Mieczysławem Brzezińskim doszedłem do przekonania, że jedynie przez socjalizm Polska wyzwoli się z pod jarzma zaborców, zjednoczy i rozkwitnie. Poznanie utopji Saint-Simon'a, Fouriera, Owena porwały mnie przepiękną wizją tego ruchu, wiodącego do państwa wspólnej pracy, braterstwa, sprawiedliwości...

Zostałem gorącym socjalistą. - Byłem wówczas po wyjściu z gimnazjum uczniem szkoły technicznej na kolei Wiedeńskiej a jednocześnie robotnikiem na teje kolei. Ruch robotniczy szybko się rozwijał. Setki ludzi przychodziły na zebrania tajemne, urządane czy to w polu za miastem, czy w ciasnych, dusznych robotniczych mieszkaniach. W moim mieszkaniu tłok raz był tak wielki, że paru słabszych robotników omdlało z zaduchu...

Nie mogło to, rozumie się, zostać na długo tajemnicą. W dziennikach pojawił się zlekka zawołowany "donos".

Wtedy nawet "pozytywiści" zwrócili się przeciw "niebezpiecznym utopistom i szkodnikom narodowym!".

Zresztą donos ten był zupełnie zbyteczny, gdyż policja o wiele wcześniej zwróciła na nas uwagę. Ludwik Waryński przywiózł z sobą z Kijowa niejakiego Kościuszkę, którego bardzo cenił i prowadził z sobą, jako "syna ludu pracującego", proletariusza itd. - Wyznaję, iż ten jegomość, mocno zatracający z rosyjska i w mowie i w obyczaju, bardzo mi się nie spodobał i nie wpuściłem go do mojej organizacji kolejarzy, o co nieraz bardzo kłóciliśmy się z kochanym Ludwikiem. Otóż ten Kościuszko okazał się prowokatorem, był nim już w Kijowie, działał w ścisłym porozumieniu z III-imi Oddzieleniem. Kiedy naszą organizację poznał, w policji kazano mu udać, że musi się kryć i uciekać, gdyż żandarmi, rzekomo, byli u niego i grozi mu aresztowanie., Zaczęto go wraz z jeszcze jednym robotnikiem ukrywać u rozmaitych naszych sympatyków, tak, że policja w ten sposób wykryła wszystkie nasze konspiracyjne mieszkania. Wtedy Kościuszko zażądał, żeby go wysłano z Warszawy, gdyż dłużej tu wytrzymać nie może. Student uniwersytetu Pławiński (młodszy) miał obu zagrożonym kupić bilety, a ja, jako kolejarz, miałem ich przeprowadzić tylnem wejściem poza wagonami, aby uniknąć ogólnego wyjścia, gdzie zawsze tkwił żandarm i tajni agenci. Mieliśmy się spotkać na dworcu w tłumie odjeżdżających. Poszedłem tam plantem wprost z warsztatów w osmolonej bluzie robotniczej i natychmiast zostałem aresztowany, skoro tylko zbliżyłem się do tkwiących w poczekalni zbiegów. Pławiński również został aresztowany, ale było tam jeszcze kilka zupełnie niewinnych osób, gdyż wzięty został każdy, kto się do Kościuszki zbliżył.

Z dworca powieziono mię dorożką wprost na Długą. Obecność w żandarmskiej poczekalni Bogu winnego ducha podmiejskiego ogrodnika i jakiegoś śmiertelnie nastrozonego żyda dodała mi otuchy. Postanowiłem się wykręcać. Trzymano mię w malutkim pokoiczku do północy poczem wprowadzono mię na salę rzeświście oświetloną, gdzie za stołem siedziało kilku oficerów żandarmskich i jakiś cywilny pan, jak się później dowiedziałem, prokurator von Plehwe. Posadzono mię w końcu stołu między dwiema płonącymi świecami; na krótką chwilę drzwi naprzeciw mnie otworzyły się i w czarnej ich głębi zamajaczyła się jakaś postać, poczem skrzydła drzwi cicho się zawarły. Zrozumiałem, że się coś stało ważnego. Po jakimś czasie wszedł oficer i szepnął coś do ucha Plehwemu, ten kiwnął głową i kazał mię przyprowadzić bliżej. Zaczęto spisywać zeznania, zaczynające się od zwykłej formuły: imię, nazwisko pana?... Kiedy jednak na zapytanie: poco przyszedłem na dworzec i co tam robiłem?...

odpowiedziałem, że "przyszedłem tak sobie... spacerem" i że "nic nie robiłem"!... Plehwe uderzył pięścią w stół i krzyknął, przechodząc na "ty":

- Kłamiesz!... Mów prawdę, albo każę cię oćwiczyć!...

Zawrzało we mnie. Z tonu głosu prokuratora poznałem, że wiedzą o mnie wszystko, postanowiłem zaprzestać przykrych dla mnie wykrętów i pójść drogą, jaką sobie wytknęliśmy w pierwszych naszych tajnych sprzysiężeniach:

"Choćby cię pieczono i smażono w smole, nie gadaj nigdy, co się dzieje w szkole!".

Wszystko to, pamiętam, przeleciało mi przez głowę błyskawicą, nasępiłem się i twardo odpowiedziałem po krótkim milczeniu:

- Na tak stawiane pytania nie będę odpowiadał!...

Plehwe rzucił na mnie bystre spojrzenie, usiadł i kazał mię natychmiast wyprowadzić.

Trzy dni przetrzymywano mię w maleńkim pokoiku, nie dając wcale spać. Ledwie zmrużyłem oczy i pochylałem ociężałą głowę na oparcie krzesła, stojący przy drzwiach żandarm podchodził i szarpał mię za rękę, albo za włosy. W tym czasie parę razy wzywano mię na śledztwo; Plehwe bardzo grzecznie przekonywał mię, że powinienem dla własnego dobra mówić. Milczałem, jakgdybym do ust nabrał wody. Trzeciego dnia byłem tak znużony, że jak martwy zwałem się z krzesła na ziemię. Obudziło mię uczucie bólu i blask; gdy otworzyłem oczy, ujrzałem pochylone nad sobą wąsate twarze oficerów żandarmskich oraz piękną, bladą twarz Plehwego.

- Kto? Kto? - pytał. - Kto był? Nazwisko?...

Nie wiem, czym je wymienił, czy nie? Przerazenie ocuciło mię ostatecznie, zerwałem się na równe nogi. Długo potem męczyła mię obawa, czy czasem nie wydałem kogo. Okazało się, na szczęście, że choć coś majaczyłem, ale nie wymieniłem żadnego nazwiska. Tak przynajmniej mej siostrze Annie skarżyli się później żandarmi:

- Nikakich lgot! Upornyj i niewieźliwyj! Nie dajot nikakich pokazanji!... Jemu że chuże!...³

Tejże nocy dorożką o podniesionej budzie, z dwoma żandarmami po bokach, zostałem wywieziony za Warszawę. Kiedy wyjechaliśmy na plac Broni, domyśliłem się, że wiozą mię do Cytadeli. Wkrótce kopyta koni głucho zatętniły na moście nad fosą, brama forteczna rozwarła się, jak paszcza, połknęła nas i znowu zawarła. Żandarmi wymienili kilka słów ze strażą i ruszyliśmy dalej, straszliwie trzęsąc się na nierównym bruku długiej ulicy, po obu stronach której wznosiły się niewysokie, długie, ciemne, milczące budynki. Zatrzymaliśmy się przed małym ganeczkiem piętrowego gmachu. Po drewnianych schodach wprowadzono mię na pierwsze piętro, do kancelarii X Pawilonu, gdzie zaspany, opuchły podpułkownik Aleksandrowicz przyjął mię bardzo kwaśno. Był to komendant więzienia, żandarmski oficer, mówiący dobrze po polsku, podobno ożeniony z Polką, niski, siwy, krzywonogi, brzuchaty, z faworytami á la Aleksander II, łapownik i złodziej, ale niezbyt dokuczliwy. Przeżywalismy go "Don Pedro", o co się bardzo gniewał. Kazał mię obszukać wachmistrzowi i odprowadzić do celi.

W czasie rewizji udało mi się ukryć w rąbku kamizelki zapomnianą w kieszeni... stalówkę.

3 Żadnych ulg! Oporny i niegrzeczny! Nie daję zeznań... Dla niego gorzej!

2.

Po rewizji sprowadzono mię na dół, potem przez kordegardę pełną uzbrojonych żołnierzy małymi drzwiami dostaliśmy się na korytarz, słabo oświetlony przytłumioną, kopcającą lampką. Tu wtrącono mię do pierwszej z brzegu, już otwartej na moje przyjęcie "kamery". Drzwi ze zgrzytem zamknęły się za mną. W rogu pod ścianą stało niskie łóżko żelazne, obok prosty drewniany stół; w drugim rogu obrzydliwie śmierdzący kubek. Pod drzwiami, przewrócony na bok stołek ocieniał światło opłyniętej łójówki w blaszanym lichtarzu w taki sposób, że blask światła nie przeszkadzał zaglądnącemu przez "judasza" strażnikowi oglądać wnętrza celi. Usiadłem na łóżku, ale nie kładłem się całą noc w oczekiwaniu na grożące mi, według mego mniemania, tortury. Nikt jednak nie przyszedł.

Nazajutrz przed 8 rano "powierka" - sprawdzanie i liczenie więźniów; potem do celi wstawiono mi na stołku wielką glinianą misę z wodą do mycia i podano jakąś ścierkę zamiast ręcznika. Na śniadanie dostałem kubek brunatnej cieczy zabielenej mlekiem, która miała wyobrażać kawę, dwie bułki i kawał pytlowego chleba. W oczekiwaniu tortur dla rozrywki oglądałem szczegółowo celę. Była dość duża, miała z 5 kroków wszerz i tyleż wzdłuż; bielone wapnem ściany żółciły wszędzie mapy wilgotnych podcieków, oraz jakieś brudne, wstrętne plamy; po kątach pleśń i pajęczyna. Duże okratowane okno, normalnych rozmiarów, miało matowe szyby, nie dające widoku na zewnątrz. Podłoga drewniana, brudna, poplamiona, cuchnęła grzybem. Drzwi brunatne, mocno okute, z wyziorem czyli "judaszem" pośrodku, zasłoniętym od strony korytarza blaszaną, ruchomą pokrywą. Żandarm, cichutko chodzący po korytarzu, co jakiś czas odsuwał ją i oko do celi zapuszczał. Niski stołek niemożliwie brudny i taki sam równie brudny stół stanowiły jedyne umeblowanie. Na żelaznym łóżku leżał siermiężny siennik, wypchany słomą, i także również wypchana słomą poduszka. Stary, podarty, śmierdzący koc służył za kołdrę. Ale uwagę moją na dłuższy czas zaprzętnął zielony, polewany piec, jaki mieścił się po prawej stronie drzwi przy ścianie wewnętrznej. W wielu miejscach miał zdrapaną polewę aż do czerwonej cegły; staranne jednak poszukiwania doprowadziły mię do odkrycia kilku ocalałych napisów; wszystkie były dawne, z 63 roku, a nawet wcześniejsze. Jeden głosił: dziś prowadzą mię na śmierć... żegnajcie!... podpisu i daty już nie pamiętam. Chciałem także uwiecznić na wszelki wypadek moje nazwisko i wyjąłem z ukrycia stalówkę. Ale ledwie począłem drapać szklistą polewę, drzwi otwarły się z łoskotem, żandarm wsunął głowę i zawołał groźnie:

- Czawo stoisz tamoka?... Nielzia!... Gulaj, il sisi!...⁴

Widocznie nie zauważyłem, jak podpatrzył mię przez "judasza". Nie odebrano mi jednak stalówki, którą przezornie schowałem w innym miejscu.

Na obiad przyniesiono mi trochę zupy z pływającymi w niej ochłapami mięsa oraz talerz kaszy z temże mięsem. Wszystko to obrzydliwie pachniało. Zupę podano w blaszanej menażce i dodano blaszaną łyżkę. Znalazłem na nich również wydrapane napisy i daty przeważnie z powstania 63 roku.

Na kolację dostałem resztki z obiadu. Wszystkiego bardzo mało. Nieraz potem byłem z tego powodu głodny, ale z początku nie chciało mi się jeść. Gnębiło mię nieokreślone położenie oraz walka moja ze śledztwem. Wciąż spodziewałem się tortur. Wiedziałem przecież dobrze, że w tym właśnie więzieniu, na podobnym do mojego sienniku, spalił się w 63-cim r. Lewittoux z obawy, że wśród mąk wyda towarzyszy...

4 Czego tam stoisz?... Nie wolno!... Spaceruj albo siedź!

Pomimo obaw i straszliwej odrazy do śmierdzącego postłania, znużenie zmogło mnie. Z nastaniem wieczoru położyłem się i usnąłem kamiennym snem. Obudziło mnie gwałtowne szarpanie, jak wówczas na Długiej; cela pełna była żandarmów, uzbrojonych żołnierzy i posługaczy więziennych.

- Wstawaj!... Odiewajście!...

Nie opierałem się, byłem przekonany, że tym razem idę na pewne męki. Długim korytarzem przeprowadzono mnie pod konwojem do innej celi, wtrącono i zamknięto. Przy słabym świetle łójówki wydało się mi, że dostrzegam na podłodze czarne plamy krwi. Rozumie się, że nie zmrzyłem już oka. Rozedniało, a ja wciąż bezsenny chodziłem z kąta w kąt po celi. Nie wezwano mnie nawet na śledztwo; tylko żandarmi częściej zaglądali do mnie przez "judasza". I tak co noc powtarzano ze mną ten dziki żart w ciągu paru tygodni. Zwiedziłem w ten sposób cały nieledwie X Pawilon. W jednej z cel znalazłem nazwisko ojca, wyskrobane na podokniu. przyzwyczailem się, przestałem wzruszać, a pod koniec nie wstawałem nawet z łóżka i musieli mnie posługacze leżącego przenosić. Żandarmi wściekali się, wymyślali, ale nie bili mię... Wido-cznie "nie mieli rozkazu". Kapitan Aleksandrowicz okradał nas niemiłosiernie, żywił szkaradnie, dzielił się z nami, a nawet zupełnie zatajał przesyłki dostarczane z domu, lecz w obawie, że w razie skandalu to wszystko się wyda, łagodził surowe rozporządzenia zwierzchników i na wiele rzeczy z naszego więziennego życia patrzył przez szpary.

Wkrótce przestano mnie przenosić z celi do celi; zadomowiłem się na dole w jednej z środkowych cel centrowego korpusu, zdaje się, że 63-ej. Tu już zdążyłem wyskrobać na piecu w twardej glazurze drogocenną stalówką swoje nazwisko i datę aresztowania. Przesiedziałem tu kilka miesięcy i poznałem wszystkie ówczesne sekrety X Pawilonu.

Był to wielki murowany jednopiętrowy budynek w kształcie litery U z dziedzińcem, zamkniętym od strony południowej wysoką kratą żelazną. Kancelarja i archiwum mieściły się w rogu skrzydła zachodniego; tam również mieszkał w dość obszernych apartamentach naczelnik więzienia i jego pomocnik. W drugiej połowie tego skrzydła na górze i na dole ciągnęły się cele więzienne po obu stronach nawpół ciemnego korytarza. Korytarz załamywał się wraz z gmachem, łącząc pod kątem za pośrednictwem małych drzwi z korytarzem korpusu środkowego, gdzie były najlepsze, najsuchsze i najweselsze cele. Zewnętrzne wychodziły oknami na ulicę, po której od czasu do czasu przechodzili ludzie i przejeżdżały niekiedy dorożki, kierując się do bramy nad Wisłą. Wszedłszy na okno i otworzywszy lufcik, co było zresztą surowo wzbrownione, można było cały ten ruch podziwiać. Z czasem przychodzili tam nasi znajomi i znajome, aby przesłać nam ukradkiem pozdrowienia ręką. Widać było prócz tego długie smugi czerwonych podmurowań i darniowe wzgórza obronnych wałów, na rogach których stały armaty i po których chodziły warty. W celach od podwórza okna wychodziły na mały ogródek, po którym spacerowali więźniowie. Przez lufcik można z nimi było zamienić spojrzenia, znak a nawet parę wyrazów.

3.

Żandarmi przerywali takie porozumienie i pozbawiali winowajcę spacerów, ale co się powiedziało, to się powiedziało, a nieraz były to rzeczy bardzo dla nas ważne. Dlatego od ogrodu sadzano zwykle więźniów już przesłuchanych lub potulniejszych. Należałem do pierwszych gości X Pawilonu, rozpoczynających jego nowe zaludnienie. Nie pustował on co prawda nigdy, lecz parę dziesiątków osób, dostających się doń od

czasu do czasu na dowód, że on jest potrzebny, ginęło bez śladu w olbrzymim gmachu, liczącym sto kilkadziesiąt cel. Zostałem w X Pawilonie kilku więźniów z procesu Adama Szymańskiego, między innymi Jana Popławskiego. Samego Szymańskiego wywieziono wcześniej.

Pierwsze kilka tygodni trzymano mnie w zupełnym odosobnieniu; nie otrzymywałem znikąd żadnych wiadomości, żadnej posyłki, nawet zmiany bielizny. Białe ściany, martwe światło ślepych okien i wciąż te same okrutne, tępe twarze żołnierzy oraz posługacza czeremisa nie rozumiejącego nawet po rosyjsku. Widocznie liczone, że ze względu na moje młode lata uda im się mnie złamać i że powiem ostatecznie, co wiem. Szpieg Kościuszko, oraz niektórzy wystraszeni robotnicy zeznali, że dużo wiem, gdyż w moim mieszkaniu odbywały się zebrania robotnicze oraz narady przywódców. Pomimo przeraźliwej pustki i tęsknoty, jaka mię gnębiła, pomimo bólów głowy i bezsenności, wywołanych lichem odżywianiem i zepsutem powietrzem - nawet mię na spacerzy nie wyprowadzano i nie otwierano lufcika - w dalszym ciągu trzymałem się taktyki bezwzględnej milczenia. Nie odzywałem się do żandarmów, nawet o nic nie prosiłem. Wszelkie próby zawiązania konwersacji ze strony śledczych oficerów odpierałem trzęsieniem głowy i przeczeniem. Przypuszczam, iż doszli do przekonania, że jestem skończonym głupcem i dali mi pokój. Zresztą prokurator Plehwe, który prowadził nasz proces, dowiedział się inną drogą potrzebnych mu rzeczy i nie badał mię więcej. Raz jeden jeszcze spróbowano coś ze mnie wydobyć. Było to już w parę miesięcy po aresztowaniu. Pewnej nocy zabrano mię i wywieziono dorożką z cytadeli do miasta. Byłem upojony świeżym powietrzem, światłem i ruchem ulicznym, czemś nowym, co przerwało niesłychaną monotonię mego więzienia i zapowiadało rychłą zmianę mego losu: czekałem na sąd, albo na wywiezienie. Zamiast tego znalazłem się w dobrze mi znanym lokalu żandarmerji rosyjskiej na ulicy Długiej (nieдалеко obecnego kościoła garnizonowego). Po chwili oczekiwania w małym pokoiku, zostałem wprowadzony do dużej, rześcicie oświetlonej sali, tej samej, co za pierwszym razem, gdzie przed gronem oficerów w świetnych mundurach stał jak ja niegdyś w obszarpanej, zbrukanej bluzie, młody robotnik.

Twarz błada, wyszłe z orbit oczy, drżące usta, odrazu powiedziały mi, w jakim stanie znajduje się nieszczęsny. Żał mi się zrobiło go niezmiernie i nim żandarmi spostrzegli się i zdążyli mi przeszkodzić, podszedłem do chłopca i powiedziałem głośno i wesoło:

- Jestem z X Pawilonu... Nie bójcie się, towarzyszu!... Nie mówcie nic!... Nie gubcie swojej duszy!...

W tej chwili poczułem uderzenie pięścią w kark, mocne i liczne ręce schwyciły mię i powlokły w tył, ale zdążyłem jeszcze dostrzedz błysk ulgi i radości na twarzy robotnika oraz wyraz wściekłości oficerów, którzy zerwali się ze swych miejsc.

Jeden z nich, o ile pamiętam, major Siekierzyński, wybiegł za mną do przedpokoju, wołając:

- Ubiercie jęwo!... Siejczas ubiercie... Nu i po drodze proucicie!...⁵

Jednak żandarmi, nie wiem dlaczego, nie bili mię. Podobno nie lubili majora. Spokojnie wróciłem do mojej samotnej celi, i od dnia tego zaczęto się nawet ze mną lepiej obchodzić. Dostałem pierwszą posyłkę: towarzysze robotnicy z kolei Wiedeńskiej za uskładane grosze przysłali mi trochę owoców, kawałek mydła, kiełbasy, bułek, papierosów, a co najważniejsza ręczniki i zmianę czystej bielizny, gdyż ta, co

5 Weźcie go!... Zaraz zabierzcie! No, a po drodze nauczcie go!

miałem na sobie, stała się niesłychanie brudna, rozlażyla się w strzępy. Wzruszenie i rozkosz wrażenia, że o mnie ktoś tam gdzieś pamięta, były nieopisane.

W tydzień potem wezwano mnie do kancelarji i nieoczekiwanie dostałem widzenie. Zaczyna pani Burzacka, żona towarzysza robotnika, u którego mieszkałem, przysłała z córką jakiegoś robotnika i przyniosła mi kosz wiktuałów, bieliznę i... książkę. Widzenie trwało pół godziny; Aleksandrowicz był obecny i nie pozwalał mówić o niczym poza rodzinnymi sprawami, mimo to z półsłówki dowiedziałem się bardzo dużo ważnych dla mnie nowin, mianowicie: kto był aresztowany, a kto nie. Niektóre rzeczy jużem był wiedział, gdyż wielkie zaludnienie X Pawilonu, jakie nastąpiło wskutek masowych aresztowań na początku jesieni 1878 roku, nie pozwoliło na zupełne izolowanie więźniów. Więźniowie osadzeni zostali cela przy celi i natychmiast powstała między nami łączność. W czasie dnia nie panowała taka bezwzględna cisza, jak dawniej: co chwila rozlegały się w korytarzach zgrzyty i trzaski to otwieranych, to zamykanych drzwi, stuki kroków, przyciszone rozmowy..., czasem gdzieś daleko za murami śpiewano pieśni... O zmroku zaś cały gmach budził się i zaczynał szemrać... Ze wszystkich stron rozlegały się dźwięki podobne do ćwierkania owadów: to stukano w ściany, korzystając z ciemności, uniemożliwiających kontrolę żandarmów. Z początku nie rozumiałem, co to znaczy i nie odpowiadałem na uparte stukanie do moich ścian, ale pewnego razu znalazłem alfabet stukania wryty za piecem na ścianie, przypuszczalnie jeszcze w 63 roku, a następnie znalazłem jego potwierdzenie wydrapane na menażce, w której przyniesiono mi obiad. Zrozumiałem, o co chodzi i pilnie zacząłem się uczyć: jedno uderzenie, przerwa, jedno uderzenie - to litera a: jedno uderzenie, przerwa, dwa uderzenia - to litera b... Pierwsze uderzenie - rząd, drugie uderzenie kolej!... Gdy ktoś zrozumiał z pierwszych paru liter, o co chodzi, przerywał stukanie pojedynczym stuknięciem, dwa stuknięcia oznaczały, że chce odpowiadać... Wielokrotne niecierpliwe stuknięcia, że nie rozumiał... Szuranie po ścianie oznaczało, że należy stukanie przerwać. Niektórzy doszli do tak szalonej wprawy, że szybkie ich stukanie podobne było do świergotu ptaków, albo punktacji aparatu telegraficznego. Ci deklamowali nieraz sobie wiersze, prowadzili dyskusje polityczne, lub odczytywali sobie wzajem całe stronicę z książek... Ja nigdy nie doszedłem do takiej doskonałości, ale mogłem się niezgorzej porozumiewać.

Alfabet do stukania

	1	2	3	4
1	a	b	c	d
2	e	f	g	h
3	i	k	l	ł
4	m	n	o	p
5	r	s	t	u
6	w	y	z	

Drogą stukania dowiedziałem się o wielkich aresztowaniach w Warszawie, o rozbiściu naszej organizacji i o próbach jej odbudowy, o rozmaitych prawach więźniów politycznych, o których nie wiedziałem i z których nie korzystałem... Między innymi radzono mi domagać się biblioteki, założonej jeszcze przez powstańców z 63-go roku. Podano mi nazwiska wszystkich więźniów.

Z bólem wielkim znalazłem tam prawie wszystkich moich politycznych przyjaciół: Mieczysława Brzezińskiego, Maksę Heilperna, dwóch braci Pławińskich, Wacława

Święckiego, Stanisława Landego, Różyckiego, Więckowskiego, Płaskowicką Filipinę, Mondszejna, Hildową; z robotników: Rottengruber, Dąbrowskiego, Kobylańskiego, Paszkiego (Jana) i innych, których nie pamiętam. - Prócz tego byli jeszcze: dr. Hłasko, dr. Daniłowicz, bracia Grabowscy (ziemianie), dwie siostry Grużewskie (Aldona i Grażyna z Litwy), Cezaryna Wojnarowska, studentka z Petersburga, Helena Konówna (późniejsza Heryngowa), Zygmunt Heryng, Drobysz-Drobyszewski, Pospiełoff (rosjanin) i inni. Waryński, Dłuski, Uziembło ("Amerykanin", pseudonim) ocalili w tych pierwszych pogromach.

4.

Staraliśmy się na wszelkie sposoby zobaczyć, w tym celu odsuwaliśmy szpilkami lub próbowaliśmy wybić ruchome blaszki pokrywające "judasza", ale żandarmi mieli się na baczności i zagrożone otwory zakrywali ręką, a na śmiałków skarżyli się naczelnikowi więzienia.

Szczególne powodzenie miały panie; kiedy wyprowadzano je na przechadzkę, "judasze" na całym korytarzu były atakowane ku rozpacz naszych strażników. Zazdrościliśmy tym, co mieli okna na spacerowy ogródek. Każdy, kto je zobaczył, zakochał się w nich z urzędu, pisał listy, wiersze, które starał się wszelkimi sposobami posłać wybranej. Szczególnym powodzeniem cieszyły się Grażyna Grużewska i Wojnarowska. Powstały nawet dwie wrogie sobie partie adoratorów.

Życie więzienne rozwijało się coraz bujniej. "Don Pedro", ugłaskany łapówkami, na wiele rzeczy pozwalał. Tajemną drogą przymycał do więzienia papier, pióra, ołówki, atrament w proszku, nawet... gazety. Dzieliliśmy się wszystkim po bratersku, pisali sobie wzajem obszerne sprawozdania z otrzymanych wiadomości, przesyłali wyćinki z dzienników. Za skrynkę pocztową służyła pewna ubikacja, wspólna dla całego korytarza, dość obrzydliwa w gmachu, nie posiadającym ani wodociągów, ani kanalizacji. Natchnione poematy i ważne wiadomości polityczne wisiały nieraz godzinami na gwoźdźniku wbitym wśród służącej za siedzenie skrzyni, aż zdjął je ten, do kogo były adresowane, albo znaleźli je żandarmi.

O poczcie uwiadamlaliśmy odbiorców stukaniem; gdy trzeba było zawiadomić kogoś mieszkającego po drugiej stronie korytarza, stukano nie w mur, ale w kratę żelazną metalową łyżeczką. Te dźwięki słyhać było bardzo daleko.

Z czasem jednak nauczyli się czytać stukanie również żandarmi; musieliśmy uciekać się do szyfrów. Ogromnie to utrudniało porozumienie. Wogóle już nam w wewnętrznym naszym życiu nie wystarczało stukanie. Wskutek braku cel oraz zupełnej prawie ruiny jednego skrzydła, zaczęto nas łączyć po dwóch, co jeszcze bardziej spotęgowało dążenie do wymiany myśli. Życie polityczne w Rosji wchodziło w fazę ostrej walki politycznej o charakterze terrorystycznym. Wpływało to ogromnie podniecająco na ruch robotniczy w Polsce i stwarzało wśród nas gwałtowne pragnienie porozumienia się i wypowiedzenia. Już wówczas zarysowały się w socjaliźmie polskim dwa kierunki: jeden starający się utrzymać ruch robotniczy wyłącznie na tle walki ekonomicznej, drugi rozumiejący, że walki politycznej nie da się uniknąć żadną miarą. W tym drugim zaś odrazu powstały dwa pytania: walka z caratem, czy też walka z zaborem. Zagadnienia powyższe w zarodku przenieśliśmy już sami do X Pawilonu, rozwijali je zaś i potęgowali coraz przyplływający nowi aresztowani. Spraw tych niepodobna było omówić stukaniem, potrzebne były listy. Listy przesyłane "skrynką pocztową" zbyt były niepewne, podlegały częstej konfiskacie i musiały być pisane powściągliwie. Przesyłać je na sznurkach z okna do okna na zewnątrz murów również było rzeczą niedogodną i ryzykowną. Trzeba było szukać innych sposobów. W niektó-

rych celach więźniowie znaleźli obstukując ściany, tajemnicze otwory, zatkałe papierem, tekturą lub zaklejone gliną i pobielone starannie z wierzchu wapnem. Po zbadaniu tych otworów trzaskami, odłamanymi końcem łyżeczki od stołów lub stołków, okazało się, że to są dziury prowadzące do sąsiednich cel. Komunikacja rychło została wznowiona. Za pomocą patyczka i sznurka w kiszkach płóciennych, uszytych z rąbków koszul przesyłaliśmy sobie wzajem nie tylko listy, ale i gazety zdobyte z wielkim trudem i kosztem przez żandarmów albo samego "Don Pedra".

Postanowiliśmy stworzyć wewnętrzne połączenie między wszystkimi celami X Pawilonu. W tym celu wylamywaliśmy pręty żelazne z łóżek, ostrzyli je na twardych ceglach pieców i używali jako dłót i świdrów do przebicia przy cierpliwym użyciu nie tylko muru, lecz nawet desek podłóg. Otwory, przebijane niezmiernie ostrożnie i powoli, maskowaliśmy ugniecionym chlebem, pobielonym z wierzchu zeszkobanym ze ścian wapnem, wzorem "naszych ojców z 63 roku". Wkrótce cały X Pawilon był połączony doskonałą siecią pocztową. Jedynie dla przesyłek na drugą stronę korytarza trzeba było uciekać się do "skrzynki pocztowej". Ruch pocztowy stał się niezmiernie ożywiony. Żandarmi nic nie podejrzewali, a gdy któryś coś przyłapał i meldował w kancelarii "Don Pedrze", ten zbywał wszystko doraźnym śledztwem i rzekomą karą pozbawienia na czas jakiś spaceru.

- Proszę, żeby to było raz ostatni! Nie lubię skandałów!... Musi być u mnie cicho i spokojnie!... Panowie powinni się o wszystko zwracać do mnie!... Co można, pozwolę! - kończył nieodmiennie swe wymówki w takich razach.

Grozą skandalu trzymaliśmy go w szachu, płacąc jednocześnie łapówki przez odwiedzających nas krewnych i przyjaciół.

Wymiana myśli wzrosła wkrótce do takich rozmiarów, że dla jej uporządkowania postanowiliśmy wydawać "gazetę". Redakcję nad nią objął starszy Pławiński; do niego skierowywaliśmy wszystkie nasze literackie i publicystyczne utwory. Zakwitła nawet poezja i beletrystyka. Najpiękniejsze wiersze pisywał Świącicki. On też bardzo pięknie deklamował je głośno przez otwarty lufcik w ciche noce pogodne, a wszyscy więźniowie w pobliżu - słuchali, przyłgnąwszy również do otwartych lufcików. Czasami dawano w ten sam sposób koncerty, śpiewano pieśni rewolucyjne polskie, rosyjskie, francuskie. Z ostatnich największe powodzenie miała "Marsyljanka" oraz hymn "Drapeau Rouge", przywieziony z Paryża przez Uziembłę. Na jej tle, zachowując melodię i przyśpiew, powstał później nasz "Czerwony Sztandar". "Głosu Więźnia", pisanego drobno i pracowicie, ozdobionego rysunkami i karykaturami, wyszły ze trzy numery. Po przeczytaniu przez wszystkich wysłano je na zewnątrz i to nas zgubiło. Zawiózł je do Krakowa jeden z towarzyszy i tam zostały przyłapane przez austriacką policję. W podtytule było wyraźnie powiedziane "redakcja w X Pawilonie". Policja austriacka dała natychmiast o tem znać bratniej rosyjskiej organizacji i "skandal" stał się nieunikniony ku rozpacz "Don Pedra". Na X Pawilon spadła niespodziewana rewizja całego zastępu oficerów i wachmistrzów żandarmskich. Znaleźli prawie wszystko: składy papieru i atramentu, niedrukowane jeszcze "materiały", karykatury, szpagaty i worki pocztowe, nareszcie nasze "nieoszacowane" dłuta. Kiedy w mojej celi, gdzie siedziałem razem ze studentem Stanisławem Landym, żandarmi dokonywali drobiazgowej rewizji i, byli bardzo źli nic nie znajdując, usłyszeli nagle na piecu szelest. Przystawiono natychmiast do pieca stół, na nim umieszczono stołek, oficer wszedł nań i krzyknął z przerażenia:

- Da tut u was... toneli i żeleznyja dorogi!⁶

6 Tutaj macie, widzę, tunele i koleje żelazne!

Okazało się, że sąsiad nasz student, Zweigbaum, słysząc za ścianą podejrzanе ruchy i łomoty, wysunął cegłę, kryjącą naszą pocztową komunikację, aby dowiedzieć się, co się u nas dzieje. Spotkał się oko w oko z żandarmem. Nasza "komunikacja pocztowa" była tak dogodna, że posyłałiśmy sobie przez nią nietylko listy, ale nawet ciastka, cukier, ba, zdarzało się... szklanki gorącej herbaty. Tą drogą dostaliśmy od jednego z kolegów I-szy tom "Kapitału" Marksa, który w ciszy więziennej przestudiowaliśmy pracowicie - wraz z Landym.

W czasie rewizji dostały się do rąk żandarmów moje pierwsze poezje i nowele, wysłane do redakcji. Między innymi wiersz mój: "Czegóż chcą oni!" Zapłaciłem za nie miesiącem "samotniaka". Posadzono mię do zupełnie izolowanej celi o małym okienku w górze, pozbawiono wszystkiego: książek, widzeń, spacerów, świeżej bielizny, gorącej strawy... Zostawiono jeno chleb, wodę i skruczę...

Tak skończyła się sielanka X Pawilonu w 1879 roku. "Don Pedro" stanął "na wulkanie", co zaraz unieśmiertnił nasz karykaturzysta w obrazku: olbrzymi prokurator Delin głaskał pod brodę maluchnego i drżącego kapitana Aleksandrowicza. Karykatura wpadła w ręce "Don Pedra" i ogromnie go oburzyła.

Zresztą sprawa "Głosu Więźnia" jedynie przyspieszyła proces zmiany stosunku władz rosyjskich do więźniów politycznych, jaki zaczął się o wiele wcześniej.

Dopóki rząd zaborczy myślał, że ruch robotniczy w Polsce nie ma gruntu, jak to głosiła większość ówczesnych polskich publicystów i polityków, że pozostanie zawsze nikłą "konspiracją" garstki wyklętych przez patriotów, szaleńców i utopistów, do tej pory traktowali moskale działalność socjalistów i, schwytanych przez siebie ich przedstawicieli lekceważąco i względnie łagodnie. Ale skoro przekonali się, że ruch ten, wbrew wszelkim rozumowaniom i prześladowaniom, krzepnie, szerzy się, rozwija i nabiera charakteru politycznego - zaczęli stosować doń represje silniejsze niekiedy, niż u siebie w Rosji. Wiele rzeczy dozwolonych w Rosji ścigano u nas i odbiło się to przedewszystkiem na położeniu więźniów politycznych. Już przedtem postanowiona była ich ścisła izolacja. Wschodnie skrzydło Pawilonu, które było najbardziej odosobnione, gdzie osadzano najważniejszych więźniów i gdzie następnie była jedna z cel "śmierci" - postanowiono odnowić przedewszystkiem. Osoby tam zamknięte przeniesiono do środkowego korpusu. Umieszczono je po dwie razem.

Przytrafiła mi się wówczas dziwna przygoda. Do mojej celi wprowadzono pewnego dnia więźnia robotnika, o którym wiadomo było, że nietylko wszystkich nas "wysypał", lecz że z przebranymi żandarmami po ulicy chodził i zostających na wolności towarzyszy wskazywał⁷. Gdy go ujrzał, zaprotestowałem przeciw współzyciu z nim i kiedy to nie poskutkowało, zacząłem gwałtownie stukać do drzwi, żądając widzenia się z naczelnikiem więzienia, aby żądać rozłączenia nas.

- Wolę siedzieć w ciemnicy!... - krzyczałem.

Wtedy zdrajca przypadł do mnie ze łzami i zaczął błagać, abym go wysłuchał, gdyż wina jego, choć wielka, płynęła nie z podłości, lecz ze słabości... Zeznania wymuszono zeń torturą. W tej właśnie celi wyrywano mu jeden po drugim zdrowe zęby... Jeżeli nie wierzę, mogę to sprawdzić... Wyrwane zęby leżą schowane w papierku za piecem.

7 Nazwiska nie podaję, gdyż człowiek ten jeszcze żyje, a sprawa - przedawniona.

5.

Wiara w tortury zadawane w X Pawilonie była tak wielka i powszechna, że zawałem się; kiedy zaś z wielkim trudem udało się nam wyciągnąć z za pieca mały zwitek papieru, a w nim znalazłem trzy zdrowe krwawe zęby, oburzenie i straszliwa litość, względem chłopaka ogarnęły mię, jak płomień. Skoczyłem ku drzwiom i zacząłem walić w nie nogami, już nie po to, aby występnego towarzysza wyrzucić, lecz aby wezwać prokuratora i ująć się za krzywdą storturowanego. Dobijanie się moje do drzwi zaalarmowało cały korytarz. Poczęto się pytać, o co chodzi. Wyjaśniłem i zażądałem, aby się wszyscy przyłączyli do protestu. Istotnie w wielu celach zaczęto bębnić we drzwi. Podniecenie zwolna ogarnęło cały X Pawilon. Zewsząd gorączkowo wystukiwano do nas zapytania o powód buntu. Wreszcie doktor Hłasko, człowiek starszy i zrównoważony, wyraził powątpiewanie co do prawdziwości opowiadania zdrajcy. Gdy gorąco nastawałem, twierdząc, że mam w ręku dowody. Hłasko poradził mi, abym zajrzał do ust nicponia, który może ma w tej sprawie jakie ukryte cele. Winowajca oburzył się początkowo na propozycję otwarcia ust i powiedział, że w żadnym razie "w zęby sobie zaglądać nie da", a cele moją opuści, gdyż przekonał się, że jesteśmy "niegodni, bezlitośni inteligenci, którzy nie wierzą mu dlatego tylko, że on jest robotnikiem". Wtedy i ja zacząłem wątpić i nastawałem, żeby wyznał natychmiast prawdę. Inaczej rozprawię się z nim bezlitośnie. Wiedział, że jestem od niego silniejszy, gdyż znaleźmy się jeszcze na wolności. Zląkł się, gdy wziąłem go za kołnierz; wyznał szlochając, że chciał w ten sposób "pogodzić się" z towarzyszami, których bojkot i pogarda bardzo mu dolegały. Zębów wcale mu nie rwano; lecz siedząc w tej celi, znalazł zęby za piecem zawinięte w paperek i kiedy żandarmi przynieśli obcegi i postraszyli go, tak się przeraził, że wydał wszystko... Bardzo tego żałuje, tembardziej, że żandarmi oszukali go i nie wypuścili z więzienia.

Co w tem wszystkim było prawdy, co kłamstwa - nie wiem. Twierzę tylko, że po 63-im roku w naszych czasach w X Pawilonie więźniów nie torturowano. Mówiono wprawdzie, że niektórych straceńców w 1905 roku torturowano tutaj przed śmiercią, ale gdzie to się odbywało - niewiadomo. Może w fortach Cytadeli?

Torturowano aresztowanych na Ratuszu, w kazamatach śledczych, na prowincji, szczególnie w Łodzi. Wogóle policja i więziennictwo Rosji carskiej wcale nie było lepsze od "czeki" sowieckiej.

W więzieniu wojskowym, dokąd nas przeniesiono w czasie sądu, na własne uszy słyszałem nieludzkie jęki ćwiczonego różgami żołnierza i naczelnik więzienia, inteligentny oficer, tłumaczył się, że "innego sposobu na nich niema". - Ponieważ wówczas już byłem "pozbawiony praw", więc przypuszczam, że było to urządzone umyślnie przed memi drzwiami w celach pedagogicznych...

Uderzało mię jednak we wszystkich więzieniach rosyjskich nietyłe okrucieństwo oficerów i prokuratorów, ile niezrozumiała nienawiść ku nam prostych żołnierzy, zarówno linjowych, stojących na warcie, jak i żandarmów. Złość ich wyrażała się w drobiazgach: w brutalnych wymysłach, poszturgiwaniach, w zabieraniu nam szachów i figurek, robionych z chleba, w niszczeniu kwiatów, które nam przysyłano z wolności, w ciągłych, często fałszywych donosach... Na więcej sobie na razie nie pozwalali, gdyż "Don Pedro" nie lubił "skandalów" i wstrzymywał swoich podwładnych od ostrych zatargów, ale za to nie reagował również na nasze skargi.

Wkrótce po likwidacji "Głosu więźnia" część więźniów przeniesiono do wschodniego skrzydła.

Cele były czyste, drzwi świeżo pomalowane, podłogi wymyte, ale na lufciki zostały nałożone "blaszane kagańce", które zakrywały zupełnie widok, uniemożliwiały rozmowy i przerzucanie z okna do okna sznurków. Próbowaliśmy protestować, lecz protest nie powiódł się: było nas tu mało i byliśmy całkowicie izolowani od reszty więźniów, pozostawionych w starym korpusie. Ja ze Stanisławem Landy dostaliśmy się do dość obszernej celi na piętrze; drugiej od końca, w korytarzu graniczącym z mieszkaniami żandarmów. Znałem tę celę już z dawniejszych moich wędrówek i wiedziałem, że okna wychodzą na jakieś składy i fosę forteczną.

W czasie zatargu o "kagańce lufcików", w czasie gorącej walki o "stukanie", co zaczęto ścigać i karać niemiłosiernie - rozległ się pewnego popołudnia tuż pod murami X Pawilonu strzał karabinowy i w środkowym skrzydle wybuchła po krótkiej ciszy nieopisana wrzawa, bicie szyb, łoskot łamanych sprzętów.

Trzeba samemu być więźniem przez dłuższy czas, aby zrozumieć, jak na wyczerpane nieustanną ciszą zmysły zamkniętych działa taki przejmujący, nieoczekiwany hałas. Zanim dowiedzieliśmy się, o co chodzi, już przyłączyliśmy nasze głosy do ogólnego chóru. Kiedy zaś objaśniono nam, że to sztyldwach zastrzelił szesnastoletniego Bejta, wyglądającego przez lufcik i że więźniowie protestują przeciw temu przez niszczenie wewnętrznych urządzeń swych cel, - zaczęliśmy sami bez chwili namysłu bić szyby, łamać stoły, stołki i łóżka... Trwało to już czas jakiś. Właśnie wyłamywałem ramę okienną i chciałem ją wyrzucić na zewnątrz, gdy drzwi z trzaskiem rozwarły się i ukazały w nich mundury rosyjskie... Rzuciłem w nich deską z rozmachem.

W chwilę potem gromada żołnierzy i żandarmów wpadła do celi, powaliła nas na ziemię, zaczęła bić niemiłosiernie, kopać obcasami w twarz i piersi... Związano nas tak mocno, że gdy się ocknąłem z omdlenia od nieznośnego bólu, ręce były sine, prawie czarne i krew sączyła się z pod paznokci. Nie mogłem wstrzymać jęków. Obok mnie wił się na podłodze i jęczał Landy. Wtem usłyszeliśmy śliczny kontraltowy głos Wojnarowskiej, śpiewającej w sąsiedniej celi Marsyljankę. To wróciło nam przytomność, - podchwyciliśmy śpiew w bolesnej egzaltacji. Siepacze wrócili wówczas i znowu nas bili. Krew płynęła z twarzy i ust Landego, prawdopodobnie i ja w nie lepszym byłem stanie. Ból w rękach odjął mi zmysły. Kiedym się znowu ocucił, byłem już rozwiązany i doktor więzienny stał nademną, kręcąc z powątpiewaniem głową; obie ręce wyglądały jak sine, bezkształtne bryły... Groziła mi gangrena... Na drugi dzień mnie i Landego, wywieziono do więzienia wojskowego na Dzielnej i oddano pod sąd wojenny za rzekomy zamach na życie komendanta Cytadeli. Podciągnięto naszą sprawę pod paragraf, skazujący na karę śmierci. Myślę, że ocalił nas od niej ten sam komendant Cytadeli⁸, który zeznał, że wcale nie miał wrażenia, jakoby zamierzył się deską w niego, że ot, poprostu rzuciłem nią... w powietrze!

Sąd skazał mię na ciężkie roboty, zamienione później na osiedlenie na Syberji, skąd wróciłem po 15-tu latach.

Gdy dostałem się ponownie do X Pawilonu w r. 1900, znalazłem tam ogromne zmiany. Czystość, kanalizacja, światło, jedzenie dobre, obejście grzeczne... Ale były to istotnie "bielone groby". Cisza niesłychana, nikt się tu nie przestukiwał, nie burzył, nie śpiewał, nie gadał... Widzenia odbywały się przez podwójne kraty, przesyłki poddawano surowej kontroli. W moim korytarzu, tym samym na górze we wschodnim skrzydle, jedynie wstrząsające wrzaski i bełkoty obłąkanego więźnia z naprzeciwka naruszały od czasu do czasu mogilne milczenie. Miejsca w ścianach, gdzie można było

8 Rosjanin, generał, nazwiska nie pamiętam.

niewidocznie przebić, jak niegdyś, otwory - starannie zalane grubo cementem... Słowem, wielki postęp!

Gdym trafił do X Pawilonu poraz trzeci w 1905 roku, znów było inaczej. Stukano i gadano, ile kto chciał. W zachowaniu się władz więziennych przejawiał się pewien popłoch i naskakująca prawie grzeczność.

Po paru dniach mego pobytu, zjawił się sam nadprokurator Niemander i prosił mnie, abym podpisał deklarację, że wycofuję się z życia politycznego, a zostanę natychmiast zwolniony. Kiedy kategorycznie odmówiłem, nastawał, abym choć obiecał, że nie będę więcej przemawiał i występował na wiecach publicznych...

Zdziwiony jego natarczywością, odpowiedziałem, że żadnych zobowiązań nie uczynię. Wtedy z uśmiechem odparł, że "mimo to zwolnią mnie, ufając w mój rozsądek i tak polityczny"... Poprosił, żebym się pozwolił odwiedzić mu do mieszkania jego własnym powozem.

Rozumie się, że zgodziłem się, ale dopiero w drodze zrozumiałem przyczynę tej szczególnej uprzejmości. Placem Broni i ulicami, któremi jechaliśmy, ciągnęły tłumy robotników. W pewnej chwili poznano mnie, tysiące rąk zaczęło machać czapkami, tysiące ust krzychało:

- Niech żyje Sirbo!... Niech żyje rewolucja! Niech żyje socjalizm!...

Jeden z robotników zbliżył się do mnie i powiedział mi:

- A my, towarzyszu, szli brać Cytadelę, żeby was uwolnić!...

- Nie trzeba, nie trzeba!... - Wszak widzicie, że wolny jest!... Niech pan powie towarzyszom!... - uprzejmie nastawał prokurator Niederman.

To był mój ostatni pobyt w X Pawilonie.

Prócz zwykłych więziennych mąk ponury ten gmach niósł wszystkim, których na czas jakiś pochłonał, groźbę śmiertelnego na całe życie zatrucia. Rzadko który więzień, przesiadawszy tam parę miesięcy, nie dostawał gruźlicy. Czaiła się ona w spleśniałych ścianach, w olbrzymich złogach kurzu, wypełniającego szczeliny drewnianych podłóg oraz rozmaite zapiecki i kąty; kryła się w sprzętach i nadwyraz lichem, brudnym posłaniu. Niektóre cele słynęły ze swej śmiertelności. Wsadzano do nich szczególnie "opornych", przykrych dla rządu lub żandarmów więźniów.

O tem wszystkim myśmy, ówczesni szermierze wolności, dobrze wiedzieli. Wiedzieliśmy, że olbrzymi procent dręczonych tam dostaje obłądu lub rozstroju nerwowego, wiedzieliśmy, że z tego Pawilonu wychodzi się albo na sąsiadujące z nim "pole śmierci", albo do ciężkich robót, albo w dalekie śniegi Sybiru, gdzie tai się wieczna tęsknota...

A mimo to szliśmy... szliśmy, jak "kamienie rzucone na szaniec!".

Wacław Sieroszewski

Warszawa

Napisane na uczczenie rocznicy 11 listopada 1928 roku.